

ILUSTROWANY TYGODNIK POLSKI

PISMO POŚWIĘCONE LITERATURZE I SZTUCE POD REDAKCYĄ
LUCYANA RYDŁA I ART. KIEROWNICTWEM A. S. PROCAJŁOWICZA

R. I.

KRAKÓW 21 LISTOPADA 1915

NR. 17.

Z ALBUMU LEGIONÓW.



BEZIMIENNYM PIEŚNIARZOM.

Kwiaty na łące i pieśni ludowe wyrastają jednako. Około uprawy gruntu pod ich drobne korzonki nikt nie chodzi, nikt nie dba o ich nasiona, ani o zasiew, ręka przypadku opiekuje się nimi, podmuchy jesienne miejscem im wyznaczają, śnieg je we śnie zimowym otula, wiosna budzi do życia, słońce krasuje barwami i słońce życie odbiera, aby je znowu wskrzęsić niebawem. I tak w kółko: z lata na lato, z wieku na wiek.

Nikt nie łamie sobie głowy nad tem, w jaki sposób zapełniać nasze lasy „alpejskimi“ fiołkami, moczary „szkarłatnymi“ jaskrami, a pola „anemonami“; dziewnie pozwalamy rosnać prosto, nikt o sztuczne wykreślenie jej łodygi nie kusi się wcale! Niech rosna wszystkie i kwitną jak rosły i kwitły dotąd. Wszak one dają naszej przyrodzie właśnie tę swojską fizyognoję, którą tak kochamy; one wytwarzają atmosferę, wśród której czujemy się u siebie, one stają się przedmiotem naszej tęsknoty. Wolno nam w dziełach sztuki opiewać je bez końca, wolno stylizować jak się komu podoba, i coraz to nowych w nich szukać symbolów. Dzięki niewyczerpanej mocy naszej wyobraźni, oko dostrzeże w nich niewidziane przedtem szczegóły; drobna winiętka, ręką Wyspiańskiego rysowana sprawiła, że inaczej patrzymy na dzwonek leśny lub smółkę, niż dawniej. Ale to właśnie dlatego, że artysta uszanował ich prostotę i ukochał ich swojskość...

Z pieśnią ludową tak samo. Jest ona niewątpliwie cząstką przyrody, wyrazem najprostszej duszy ludzkiej, melodyą jej uniesień i zachwyty, krzykiem jej bólów i radości. „Zkąd przyszła, darmo śledzić ktoś pragnie“, jak wyrastała z drobnych ziarenek ongiś w zamierzchłej przeszłości, jak ją hodowano rozmaicie, jaką ilością lez ją wykarmiono, ile żaru uczucia spłonęło przy jej poczęciu, nikt tego nie zbada. A tych odległych jej twórców, co pierwszą ułożyli zwrotkę, co pierwszą melodyą zaśpiewali, żaden uczony nie odkryje, żadna historia nie nazwie. Zaginęli bezpowrotnie. O pieśniarzy tych nikt dziś nie pyta, stali się jedną, jakąś nieokreśloną całością. Na zapytanie, kto te miliony piosenek utworzył, odpowiada się bardzo często: nikt, same powstały, albo nieco ściślej: lud... I niema wątpliwości, że żadna z nich nie utrzymała się w pierwotnym swym kształcie, a więc miała niewątpliwie większą ilość autorów; pierwszy zaśpiewał główny motyw melody, następny dodał coś jeszcze do niego, trzeci i dziesiąty zmienił to i owo w melodyi czy w tekście, i w tej różnorodnej formie rozeszła się po świecie. Każda dzielnica, każda okolica, wieś nieraz sąsiednia, posiadają tę samą pieśń w znacznie odmiennym brzmieniu. Najbardziej rozpowszechniona polska pieśń ludowa „Chmiel“ zgadza się zazwyczaj w jednym tylko zwrocie (środkowym), zresztą przedstawia wielką różnicę już zaraz w pierwszych tonach melodyi. Mamyż kłopotać się tem bogactwem wariantów, mamyż może — jak ktoś to już raz zamierzał — przedsięwziąć usiłowania, aby zaprowadzić między nimi ład i porządek, poinformować tę wiejską działwę i poustawić w szeregi? Ależ nie, zostawmy im swobodę, niech rosna na wolności dalej i same się rozwijają.

Dbajmy tylko o jedno. Niech nie tracą swej swojskości pierwotnej. Wszak ich odrębność, ich wyraz, ich uczucie, smutek, pogoda, zapal czy zadzierzystość, związane są z pewnymi rytmami i z pewnymi odległościami tonalnymi. Związek ten nie jest bynajmniej niewolni-

czy, raczej zasadniczy tylko, jak dla roślin wspólny grunt i jednakie warunki atmosferyczne. Otóż, niech one nie tracą swojskich, wspólnych cech, niech nie ulegają wpływom obcym, niech obce pierwiastki psychiczne, zawarte w melodyach zawleczonych z zagranicy nie wciskają się do naszych piosenek, a przez piosenki do naszych dusz, a już zwłaszcza tych dusz najprostszych... Brońmy przystępu rozmaitym, nieraz bardzo natarczywym „Gassenhauerom“ do ucha ludu, nie dopuszczajmy zwrotów nie naszych do muzyki, która ma obiegnać szerokie masy polskie, ma się stać popularną.

Bo przecie twórczość w dziedzinie pieśni ludowej, nie należy jedynie do przeszłości. Ona pracuje nieustannie. Miewa okresy zastoju i okresy zwiększonego ruchu, a wielkie wstrząśnienia społeczne i wielkie wypadki dziejowe, wywołują zawsze silniejszy popęd twórczy i żywsze wylądowanie czynników uczuciowych i estetycznych. Nieukożona tęsknota, czy napad humoru, gorączkowe naprężenie nerwów, czy naodwrot cisza wewnętrzna, wydobywają najniespodziewaniej z duszy ludzkiej odruchy twórcze. I wówczas to na usta wchodzi wyrazy i rymy, a z piersi wydobywa się śpiew, mimo, że przez głowę, która nimi rządzi, nigdy nie przeszedł ślad nawet teorii o wierszowaniu lub układaniu melodyi. I powstaje pieśniarz. Pieśniarz naiwny, którego wolno krytyce artystycznej traktować z góry, co najwyżej z laskawym pobłażaniem, ale niemniej najszczerzy, jakiego wyobrazić sobie można. Nie dba on o laury, nie myśli o swoim imieniu. I pozostaje też — bezimienny. A chwila takiej nieświadomej emanacji ducha pełnego prostoty, szczerości i zapalu, rzuca w świat nasiona, które Bóg wie, gdzie paść mają i jakie kiedyś w przyszłości wydadzą owoce. Jak w lesie podczas burzy. Ziarno z szypułki wichrem niesione, może dać początek dębowi o stulistnych konarach i życiu stuletniem, gdzieś w polu dalekiem, na słońcu i wichrach.

Ale dzieje się najrozmaiciej w świecie tej przygodnej twórczości. Wśród przeróżnych zawieruch dziejowych, przypadek, konieczność lub pośpiech, nie zawsze szczęśliwie oddziaływały na utworzenie się tej lub owej pieśni. Brak rozmysłu produkował nieraz i dziwołagi nawet — zwłaszcza w zakresie pieśni o znaczeniu nie tyle ludowem, ile narodowem. Ileż to razy do czysto patryotycznej myśli, zawartej w tekście, przyplątała się melodya z jakiejś włoskiej opery lub francuskiej piosenki i to właśnie u nas! Najniwłaściwiej, najniestosowniej, śmiesznie nawet, rażąco, że względu na powagę intencji.

W pieśni ściśle ludowej o takie pomyłki trudniej. Lud, w przyjmowaniu obcych żywiolów ma przynajmniej zdrowy, naturalny instynkt. Ale wyższe klasy społeczne, sprowadzone z drogi „międzynarodową kulturą“, popełniają błędy nieraz bardzo grube. Objawia się w tem nie co innego, jak właśnie brak istotnej kultury muzycznej, głębszej, subtelniejszej. — Razu pewnego, niedawno, przybywa do mnie młodzieniec z nutami w rękę, z prośbą o przejrzenie kompozycji. Cóż on takiego napisał? Ba, ni mniej ni więcej tylko marsz na cześć — Odrodzenia Polski!.... Boże, człowiek truchleje na takie wielkie słowo, z trwogą bierze skrypt do ręki... Ale o cóż to chodzi: o doskonałość formy, czy o siłę inspiracji, o rozmiary, czy o dobór środków te-

chnicznych? A może o parę tylko życzliwych słów zachęty? — „Nie jestem pewny — odpowiada na mój niemy znak pytania młody „kompozytor“ — czy wszędzie harmonizacja jest dobra, bo co do wrażenia, to wszyscy chwalą ten marsz, i mówią, że jest *schneidig*... Ach, powtarzam, mówią, że jest „schneidig“? No, to gratuluje, harmonia poprawna, basy defilują jak „Deutschmeistry“, melodia jakby wypadła przed chwilą z „Teater an der Wien“ na ulicę. Czegóż więcej zatem potrzeba do... Odrodzenia Polski?...

Tak jest, nieślepy. Postępujemy sobie z temi rzeczami lekkomyślnie, mimo, że posiadamy w muzyce własny typ, dostatecznie bogaty, aby nie zwracać się w inną stronę. W Niemczech, młodzieńca takiego nie możnaby napotkać. Jeżeli już któryś próbuje tworzyć po dyktanku, to przynajmniej nie postąpi tak naiwnie, łącząc wielką myśl z niewłaściwie ciasną formą, ani nie obrazi poczucia narodowego przez wprowadzenie obcego żywiołu, zwłaszcza o wulgarniej, brukowej fizygnomii.

Zapewne, że przykład podany, jaskrawszy jest niż inne. Ale wykazuje niebezpieczeństwo jak na dłoni. Uledek bardzo łatwo melodyi rytmom, co w ucho wpadają natarczywie, co biegają za nami wszędzie: w teatrze, kawiarni, na ulicy, co w powietrzu niemal się unoszą, dzięki zwłaszcza operetkom, zalewającym świat cały.

Mamyż jednak pomnażać jeszcze ilość dziwolągów pieśniowych, i to właśnie w chwili dziejowej dla nas tak ważnej, w chwili, kiedy szczerze, gorące uczucie oczekiwania coraz to większych wypadków, powinno wydość z piersi naszej wyrazy i dźwięki płonące miłością, swojskie, silne i odrębnie nasze?...

Otóż to rzecz Wasza, Wy Bezimienni Pieśniarze! Gdy Was fantazja unosi, gdy dajecie folgę swej ochocie, czy swym smutkom, gdy wam myśl kładzie w usta wyrazy, niech sobie będą jakie chcą, wzniosłe czy proste, uczuciowe czy junackie, wytworne czy sprosne, szukajcie melodyi w naszej pieśni ludowej. Niech Was nigdy na pokuszenie nie wiedzie żaden rytm obcy, żaden zwodniczy zwrot dźwięków nieswojskich. W pieśni ludowej znajdziecie niewyczerpaną skarbnicę. Niech tętna krakowiaków, mazurów, kujawiaków wejdą w krew Waszą, niech głębokość i serdeczna liryka spłynie na Was z hymnów kościelnych, kolend i dum starodawnych, a nie popadniecie nigdy w błąd, nie uczynicie nigdy krzywdy pieśni naszej narodowej. A wzniosły, piękny sztandar Bezimienności Waszej utrzymacie wysoko, skarbiąc sobie niewygasłą wdzięczność milionów serc polskich...

Stanisław Niewiadomski.



STROFY O KONIU UŁAŃSKIM.

Wierny jest koń mój i biały jak śnieg
I niby dziecko oczy ma łagodne.
Oto stworzenie swego pana godne,
Któremu losów swych zwierzyłem bieg.

Często, gdy duszy przesili się moc
W męczących marszach jakąś drogą podła,
Słodką kołyską jest mi twoje siodło.
— Pan spi, a zwierzę czuwa w długą noc.

Często, gdy ranny dobierze się chłód
Do zmarzłych członków, co jak drewno skrępiły,
Tulę się cały do twej szyji ciepłej
Lżej wtedy znosząc niedolę i głód.

Znasz mą zuchwałość, mój młodzieńczy szal,
Lecz i tęsknotę mych godzin samotnych,
Bom często szukał w twych oczach wilgotnych
Tego, com w ludziach próżno znaleźć chciał.

Lecz ile razy wśród dymów i mgły
Wizya szrapnelu rozprysnę się złoła,
Jakże się zmienia nagle twa istota,
Jakie się z oczu twoich sypią skry.

Jest wówczas w tobie ten bojowy gniew,
Co ludzi w furię przemienia straszliwe.
Na wiatr srebrzystą rozpuściłeś grzywę,
A we mnie ogniem zapala się krew.

Lecą za nami kule z wszystkich stron,
Lecz nas swą zimną dłonią nie uchwyca.
Jesteśmy wojny krwawą błyskawicą,
Siejącą wokół zniszczenie i zgon.

A jeśli kiedyś zblednie krasa lic
I młode oczy zgasną w śmierci mroku,
Chciałbym, ażebyś był przy moim boku
Po tamtej stronie, gdzie wieczyste Nic.

Bo wiem, że dobry pozwoli nam Bóg
Przetrawiać wieki na szalonych jazdach,
Tętentem kopyt rozbrzmiewać po gwiazdach
I krzesać złote skry z mlecznych dróg.

A gdy wśród białych księżycowych skał
Spędzić nam przyjdzie kilka chwil samotnych,
Chcę wówczas szukać w twych oczach wilgotnych
Tego, com w ludziach próżno znaleźć chciał.

Henryk Zbierzchowski.

FOTOGRAFIA W POLU.

Legioniści namiętnie lubią fotografować się i jeść ciastka — powiedział T. Langier fotograf I. Brygady. O ciastka, jak wiadomo, nader trudno, o fotografii zdawałoby się, o wiele łatwiej. Jednakże nie tak łatwo, jak



Ulan I. Brygady.

Fot. T. Langier.

to może wydawać się z pozoru. Przedewszystkiem, czem jest fotografia wojenna. Jest najcenniejszym, najbepośredniejszym dokumentem chwili. Gdy broń rozstrzyga o żywotnych, niezmiernie ważnych zagadnieniach przyszłości, fotografia rejestruje to stawanie się przeszłości, aparat fotograficzny przemienia pędzące w szalonym rozmachu momenty twórcze, w wartości trwałe, uwiecznia je, chwyta w lot i składa do skarbcza narodowych pamiątek. Przy dzisiejszym tempie wojny, przy masach, jakie składają się na fronty bojowe przy rozczłonkowaniu akcji na niezliczoną wprost ilość poszczególnych aktów, które razem tworzą to, co nazywamy wojną, bez takiego sposobu rejestrowania, jakim jest fotografia, niepodobnielibyśmy poprostu napisać dziejów wojny. Niema sposobu szybszego notowania, jak ten, który daje nam aparat, spisywanie, choćby najintensywniejsze, jest wprost dziecinnym usiłowaniem. I pozatem nie daje tych, co zdjęcie rezultatów. Słowo stało się dodatkiem do kliszy, ma ją tylko objaśnić.

Mały aparat składany, w niewielkiej torbeczce zarzucony na plecy i paczka z przyborami gdzieś na wozie pod opieką „taborytów“, oto wszystko. Więc fotografować wydaje się rzeczą łatwą. Tak nie jest. Wymaga to poświęcenia, nieraz większego jak sama walka. Głównym zadaniem, jakie sobie stawia każdy Legionista fotografujący jest chwywanie stałe wszystkich ważniejszych momentów bojowych danego oddziału, więc nie tylko życia w kwaterach czy ziemiankach, nie tylko marszów i postojów, takich czy innych epizodów że tak powiemy „pokojowych“ wojny, nie tylko wreszcie portretów kolegów i komendantów. Idealem fotografa jest pochwylenie rzeczy waż-

niejszych, niemal niemożliwych do ujęcia, bo nagle zjawiających się ważnych zdarzeń. Ile trzeba zaryzykować, by dostać na płytę wylatującego nagle z zakrętu ordynansa, wypad nieprzyjacielski lub swego oddziału z rowów do ataku na bagnety, często znów uchodzącego wśród walki tylnych straży nieprzyjaciela, dalej samo pole walki w chwili, gdy bój się rozgrywa, obraz skutków, jakie wywołuje pękający szrapnel, sam wybuch granatu, słowem niezliczone mnóstwo rzeczy, nie dających się przewidzieć ani sekundę naprzód. Trzeba być gotowym każdej chwili, a sama świadomość tego ustawicznego pogotowia źle oddziaływa na samo zdjęcie.

Niespodzianki przy fotografowaniu w polu są liczne, jak piasek na dnie morza. Weźmy, że fotografujesz najczęściej używanym aparatem składanym. Otóż obraz w jego periskopie nie jest identyczny z tem, co pada na kliszę podczas zdjęcia, a to dlatego, ponieważ w konieczności jest on umieszczony z boku lewego w górnej części aparatu. Czasu pokoju, w normalnych warunkach każdy wie o tem i z tem się liczy, ale w polu, gdzie trzeba „brać piorunem“, kiedy wokół bzykają i pękają, w najlepszym razie, ekrazytówki, w polu, powtarzam, rzecz się ma zgola inaczej. Człek zapomina o wszystkim, byle tylko „wziąć“ dany przedmiot. Otóż dzieje się na przykład, że miast milego druha, lub komendanta na koniu otrzyma się jeno sam koński ogon, albo tylko końskie, w skoku nad ziemię uniesione kopyta. Często portret bywa bez głowy, albo mieści się z samego boku kliszy, gdy środek zajmuje naprzykład wielkie wiadro, albo drabina oparta o ścianę chałupy. W dodatku sfotografowany uważa się za uwiecznionego przez dni kilka,



Telefon.

Fot. T. Langier.

potem odchodzi w inne strony i nareszcie dowiaduje się po kilku tygodniach, że zamiast jego portretu na polu chwwały, w miejscowości X. czy Y., kiedyto stojąc przed aparatem przybierał tak zachwycające miny, po-

wstało zdjęcie wozu z workami mąki, na szczycie którego siedzi pies Kruczek. Ale oto jeszcze inna przygoda, częsta w czasie pokoju, niestety epidemicznie występująca czasu wojny. Zrobiłeś „kapitalne zdjęcie”. Dobra nasza. Nagle zjawia się coś drugiego. Bęc! Jest!

uwiecznieni w okolicznościach jaknajdziwaczniejszych, nawet ranni, nawet leżący w szpitalach przepadają za konterfektem swoim. Łatwa do pojęcia i rozgrzeszenia zarozumiałość. Idzie przecież o przesłanie podobizny swej do domu, gdzie rodzina czeka z upragnieniem każdej fotografii. Toteż oczywiście każde zdjęcie natychmiast należy wywołać. Ale gdzie? Ale jak? O ciemni marzyć nie można. Trzeba pracować gdzieś w piwnicy, rozwalonej chałupie, pozatykawszy otwory czem się da, bez koniecznego oświetlenia, bez świec, których zawsze niema gdy ich najbardziej potrzeba. A przecież nie idzie o samo zdjęcie, ale o kopie. Często zdarza się, że gdy się mijają w drodze dwie kolumny pochodowe, rozbrzmiewa okrzyk: Oddaj fotografii! Oddaj.... A bieda fotograf kuli się i przemyka coperdziej, by nie słyszeć epitetów, jakimi go raczy ten i ów. Najokropniejsza rzecz, to płyty i filmy. Oczywiście nie sposób mieć dużo tego materiału przy sobie. Zresztą front, to nie linia A-B, nie chodzi się po flizach. Aż na zbyt często grzęźnie się we wodzie, często przewróci się człek do błota, wreszcie deszcz psuje bardzo wiele tego materiału. Zapas jest, ale najczęściej albo daleko na czele kolumn albo daleko z tyłu pod opieką „taborców”. Jaka to opieka, można sobie wyobrazić. Płyty, filmy, papier oraz inne przy-



Artylerya na pozycji.

Fot. T. Langier.

A właśnie trafiło się chwycić rzecz nieoszacowaną. Doskonale. Uszczęśliwiony jesteś przez cały dzień a w nocy, gdy się zabrałeś do wywoływania, gdyś ponosił cały szereg trudów, by wywołać dobrze, okazuje się, że oba owe „kapitalne zdjęcia” zrobiłeś na jednej i tejsamej kliszy. I oto dostajesz jakieś dziwotwory, pędzi oddział do ataku, przez szeregi suną armaty, górą zaś po niebie wije się wdzięcznie rzeka, pośród wysokich traw. Drugi raz znowu uczyniłeś dwa zdjęcia „dla pewności”, damy z synkiem. Okazuje się, że na płycie dama owa ma nie tylko dwu synków, ale także cztery ręce i dwie głowy na jednym ciełe, co jest stanowczo za dużo. Zdjęcia po największej części są robione za szybko, przyczem występują wszystkie złe strony aparatu składanego, który nastawia się z ręki, na odległość przypuszczalną, z zastosowaniem blendy doraźnem, nieobliczonym uprzednio. A jednak taki tylko aparat jest najczęściej w użyciu, gdyż nie mówimy tu o tak zwanej statywie, gdzie można nastawić porządnie na płytę. Ideałem fotografa wojennego byłaby kamera lustrzana, gdzie wszystko wybornie widać, rzecz niestety bardzo nieporęczna, gdyż kształtu kostki i przytem bardzo dzisiaj droga. Są wprawdzie bohaterowie prawdziwi, którzy póty manipulują aparatem na statywie w najgorętszych momentach, aż im kule poutrącają nogi stojaka, ale jak w każdym zawodzie, i tutaj, jest to rzadkością, gdyż już tak jest na świecie, że każdy człowiek woli swoją głowę jak fotografię, choćby najciekawszą. A dalej, samo wywołanie w jakichże odbywa się warunkach! Pożal się Boże! Legioniści kochają się w fotografii, przybierają przed aparatem najkomiczniejsze postawy, stają w pozycjach isticie bohaterskich, chcą być

bory są skazane na wolę deszczu i humor woźnicy. Ileż razy taki 16-letni automedon, dla ulżenia koniom do góry wyrzucał całe paki klisz do błota? Takiesame trudności sprawia konserwacja gotowych zdjęć i wcale do rzadkości nie należy, że kilkaset najciekawszych rzeczy, gotowych już i wywołanych, albo tylko chwyconych, przepada. Poprosto zostawiono to, z powodu, że trzeba było zabrać rzeczy ważniejsze. Gdy się zaś wraca, najczęściej cennego zbioru już niema. Dodać



Karabin maszynowy.

Fot. T. Langier

należy, że ponieważ zdjęcia robi się dorywczo, nieraz pośród walki, a zachodzi potrzeba wywołania ich zaraz, niejednokrotnie przy cofaniu się nieprzewidzianem oddziału, napoty gotowe klisze dostają się w ręce nieprzyjaciela. A jakże nieraz żal. Oto wczoraj zdjęło się

towarzysza broni, który dziś nie żyje. Zdjęło się go jakby w przeczuciu, że to ostatni dzień... i nagle jakaś szelmoska psota losu niweczy zdjęcie. Wywołanie niezwłoczne porobionych zdjęć jest nawet wskazane, doświadczeniem. Przed wywołaniem może być klisza przez nieostrożność naświetlona powtórnie i wszystko przepada. Wystarczy, by jakiś „laboryta“ był nieco ciekawy i chciał zobaczyć, „co też tam jest“. Jeden ruch ręki niweczy tysiące zdjęć, których nie sposób uskutecznić poraz drugi. Wywołane klisze mogą być już podrapane, na co jest rada oraz potłuczone, na co już rady niema, ale zawsze nawet w razie katastrofy, część jakaś się ostatecznie. Inaczej z niewywołaniami. Niejeden z pedantycznych fotografów, który chciał dokonać wywołania zdjęć „pojem, w spokoju, w Hinterlandzie“ postradał w ten spo-

sób cały swój materiał niesłuchanie mozolnie zebrany.

Mimo wszystko, jednak nie wolno zrażać się niepowodzeniami. Nigdy nie możnaby sobie wybaczyć, że dla jakichś, choćby znacznych przeszkód nie dokonano się zdjęcia w danej chwili jakotako możliwego. Wojna niesie na swej fali niecodzienne zjawiska. Rzeczy te mogą się nie powtórzyć przez długie lata, a nawet powtórzone, zawsze inne będą zupełnie. Po rozlicznych kłopotach, po zmarnowaniu wielkiego zapasu klisz, co jest nawet dla wprawnego fotografa rzeczą wprost nie do uniknięcia na wojnie,

dojdzie się do pewnych metod swoistych, drogą własnych wynalazków znajdzie się linię najmniejszych trudności, a zachód wart plonu.

A B



Karabiny maszynowe.

Fot. T. Langier.



Sztab I baonu IV pułku. Wydawanie dyspozycji przez majora Galicę przed bitwą.

Fot. Warchołik.

DR. ADOLF STERNSSCHUSS.

Jest rzeczą jasną, że w walce za Ojczyznę ludzie giną. Jest tedy rzeczą w tym czasie srogim i twardym dla każdego dostępną, że zginąć może i najbliższy sercu i wielki zasługą i świetny męstwem, — na równi z kimkolwiek mniej znanym, czy mało znanym, czy bezimiennym. Na tem właśnie polega przepiękna równość szeregu i w tem najgroźniej kwitnie surowe bezmiłośierdzie nowożytnej walki.

Lecz śmierć dra Adolfa Sternschussa wywołuje prócz żalu głębokiego i wielkiego serca ucisku coś więcej, — coś innego, coś, co się raczej ważnej sprawy tyczy a nie tylko śmierci bohaterskiej.

W czynie i w śmierci Sternschussa jest przykład wspinały. W czynie Jego przypowieść się kryje głęboka a nie zawsze wysłuchana.

Bo śmierć tego dzielnego szeregowca prześwietnym krokiem idzie w polski świat i więcej ma w sobie życia, niż niejedno realne życie, a sztywność jej więcej ma rozmachu i giętkości, niż niejedno rozmach i giętkość tysiącem słów i gestów naprzykrzające się rzeczywistości.

Dr Sternschuss bez najmniejszej dla siebie ujmę mógł był sprawić mniej, niż sprawił; mógł był sprawić dwa razy mniej niż sprawił i jeszczeby szacunek go otaczał niezmienny. W mniemaniu sfery, do której należał, mógł był wogóle nic osobliwego nie czynić, automatycznie spełniać swe formalne obowiązki — a takżeby był człowiekiem, który jest z samym sobą w porządku i godnie trwa na swem stanowisku.

Cóż bowiem czynić ma Polak na wysokim stanowisku, gdy wojna wybucha światowa, zaś w pośród morza wielkich płomieni świeże płomień nowej Bellony polskiej zabłyska?...

Polak na wysokim stanowisku nie zaangażuje stanowiska w grę niebezpieczną i niepewną. Niepewność i niebezpieczeństwo zostawi wiekowi, któremu one przystały, wesprze datkiem, ofiarą, pokrzepi godnym słowem.

Wy tam Polskę zdobywajcie, my Ją wam tu urządzić się postaramy...

Niema w tem nic złego zaiste, ale i piękna w tem niewiele.

Otóż dr Sternschuss rozerwał kółeczko tego przesądu i stwierdził sobą, że ten sam mus, który dla wszystkich stwarzają państwa w chwilach przełomu, istnieje w takich chwilach w Polsce z dobrej woli. Stwierdził, że się Polak na służbie może nie zestarzeć i że dobrobyt może nie być powodem ociążałości i że majątek nie musi stanowić o braku ryzyka.

Gdy uwolniwszy się z dotychczasowych obowiązków nastal do czynnej służby Narodu, również nie chciał korzystać z praw, któreby mu mogły przysługiwać.

Ludziom się to często wydaje niesłuszne i niepraktyczne. A jednak takie zrzeczenie się praw powiększa największy skarb Ojczyzny: bezwzględne prawo rozporządzania ludźmi w myśl jej potrzeb.

I tu rozłamał szeregowiec Sternschuss drugie koło przesądu: jakoby jedni tylko gospodarzyć mieli krwią ofiarą, a drudzy tylko wylewać krew z swych serc... Dr Sternschuss, mający wszystkie dane na polityka, organizatora — poszedł jako szeregowiec I Brygady w pole.

Posiadając doskonałe wykształcenie wojskowe, mógłbył szybko awansować. Lecz prosił, by tego wykształcenia nie uwzględniano w posuwaniu go stopniami szarż.

I tu szeregowiec Sternschuss zwyciężył trzeci przesąd, jakoby można iść w górę wojskowych dostojęństw ina-

czej, niż na mocy zasługi wojennej wobec nieprzyjaciela...

Zginął w walce, ostatnim schodząc z pola, z karabinem w rękę.

Więc niema już tego szeregowca, przewyższającego wzrostem kolegów, żołnierza o pysznej, złotej brodzie lowelasa, eleganckiego żartownisia, który znał wszystkie kawały!... Nasza rzadkość, nasz wyjątkowy szeregowiec w monoklu (ach, oddaj monokl!) o bystrych, niebieskich oczach, celny strzelec, odważny łowca rosyjskich patroli, zawsze wyborna wedeta i świetny żołnierz, kochający szturm więcej, niż swe bogate muzeum...

Wieść skwapliwa i godziwa chępliwość — opinia obypała jego pamięć pośmiertną wszystkimi tytułami, dostojęstwami, których się był zrzekł dla munduru szeregowca. Nie dziwoła, że szeregowiec, który wypisywał tablicę na grób swego kolegi doktora praw, radcy i porucznika, opatrzył ją we wszystkie tytuły. Wyraził tym sposobem rzadkość tego rodzaju koleżeństwa. Nie dziwoła, że fama zliczyła głośno te tytuły. Wyraża ona tym sposobem wielki hołd dla człowieka wyznającego równość...

Dr Sternschuss, śmiertelnie ugodzony, chciał wido- cznie coś jeszcze napisać. Zastano trupa z kawałkiem papieru i ołówkiem w rękę. Słowa jednak już sklecić nie mógł, — na papierze widniało parę nieskładnych kresiek. Co chciał powiedzieć w tej chwili ogromnej, gdy go Ojczyzna brała w przeznaczony poczet nigdy niezapomnianych przykładów obywatelskiej cnoty i żołnierskiego hartu?...

Juliusz Kaden-Bandrowski.



Fragment z tablicy pamiątkowej „Na Gospodę legionistów” w Wiedniu.

Prof. Jan Raszka.

ZE WSPOMNIENIA O SARMACIE-SZYSZŁOWSKIM.

I.

U POR. SARMATA-SZYSZŁOWSKIEGO.

Okolo 5 kilometrów drogi rowami i wzdłuż nich. Przez pozycje dwóch batalionów: 3-go i 5-go. W mdłym świetle księżycy a kilku gwiazd, ciemnymi korytarzami, jak w katakumbach, gankami wśród ruin, kopców. Wszystko to w litym piasku. Portyki jakieś, jakby fragmenty Pompei, boczne ganki wybiegające gdzieś poza pozycje w pole. Miejscami na przestrzeni kilkudziesięciu metrów przedpiersnik powyrzynany jak grzebień, błyszczą otworami strzelnic, straszący cieniem jam, nisz i wnęków. Gdzienigdzie całe wsie niskich papuaskich czy zulusowskich lepianek, z kilku uliczkami, zbiegającymi się w środku. Ganki długie na $\frac{1}{4}$ kilometra, wązkie, głębokie, węzłem prowadzone w nieznaną wieś.

Okolo 9-tej wpadłem na kwaterę por. Sarmata-Szyszłowskiego we wsi Sobowicach, pod pozycją kompanii 2., batalionu V, którą prowadził. Wieś — obozowisko: ruiny zagród, sterty słomy, ślady po stodołach i brogach. W ciszy i cieniu sylwetki naszych. Śród piechurów kawalerzyści. Kuchnie polowe, przy których sierżanci prowiantowi chleb rozdają.

Kwaterna — izba chłopska, jak każda inna. Kilku sierżantów, podoficerów i ordynansów. Stół zawalony różnym sprzętem żołnierskim i fasunkiem. Lecz on sam — przy blasku świecy — bajeczna twarz i postawa. Chłopickiego młodego, tego jeszcze z pod Saragossy, lub jakiegokolwiek kapitana z napoleońskich czasów, z 31 r. Głos twardy, szorstki — chamski głos. Dobry i dzielny chłop — z takich, którzy najlepsi są w prowadzeniu na bagnety, najprzystojniejsi, gdy z gorączką na oczach, dymem, kurzem i bezsennością czarni, bez czapki, z szablą, chrapiącą wydają komendę.

Przedstawiłem się, wyluszczyłem sprawę. Prosił siałę, herbatą częstował i zaczął opowiadać. Przed wybuchem wojny był dłuższy czas komendantem okręgu krzeszowickiego. Gdy w połowie sierpnia przemaszerowały wszystkie nasze kadry przez Krzeszowice, dostał rozkaz zmobilizowania swego okręgu i wyruszenia za siłami głównymi. Do 24 godzin, w myśl rozkazu, zmobilizował swój okręg. Stało 90 ludzi. (Mobilizacja austriacka wybrała już $\frac{3}{4}$ członków Strzelca). Z tą kompanią i 20 wozami, na które zabrał wernidła i amunicję pomaszerował na Kielce. Po drodze zagarnął maroderołów i ochotników w Miechowie i Jędrzejowie przez komisaryaty W. P. zwerbowanych. Z 220 ludźmi wszedł nocą z 19 na 20 sierpnia do Kielc. Następnej nocy złączył się w Tumlinie z główną siłą. Oddział jego rozdzielono na 2 kompanie, z których jedną prowadził, aż po Wiślicę, jako kompanię 4, baonu 3-go.

Późną nocą wracałem. Cisza panowała w naszym mieście podziemnym. Jakies naprawdę zamarłe, historyę zamierzchnią śniące, piaskiem wpół zasypane grodzisko. W kilku ziemiankach światło, w piecykach żar. Tylko strażę dumającą na nasypach, lub cienie patroli, posuwających się nad rzeką. Na drugim brzegu na wzgórzu dwa ogniska na zgliszczach domów, rano zwalonych granatami. Cisza w naszym mieście. Blanki w murach. Pod nimi broń w rzędach w księżycu. Lekka jasna mgła spowiła ten obóz polski w sen. Śpią żołnierze. W ziemiankach oficerskich światło — czuwają.

Nagle cisza prysła. Na alarm uderzyły silne, urywane strzały artylerji naszej. Po dwa w przerwach. Jak silne,

nieodbite argumenty. Huk wystrzałów, metaliczny świst górą — dwa błyski, dwie krwawe iskry i po dłuższej chwili huk stamtąd. Pojedyncze strzały poczęły pękać po pozycyi.

Miesiąc minął. Bataliony wpadły w wir bitwy pod Konarami. Atak następował za atakiem. Piąty już dzień — 21 maja. Pod ogniem flankowym pogłębialiśmy najdalej przed lasem kozinkowskim wysuniętą pozycję pod Grabinami, objętą półkolem linii rosyjskiej. Wokoło ziemia zryta rowami i dolami, pokryta trupami i ryszunkiem. O tę redukę i o las trwała kilkudniowa walka.

Stąd okolo godziny 7 rano patrzyliśmy na atak kompanii por. Sarmata na Beradz. Jak na dłoni. Atak odosobniony, wspierany tylko ogniem karabinowym. — Składnie jak na ćwiczeniach wybiegały plutony z parowu, wyciągały się w linię i chwilami zapadając w zbożu, pędziły stokiem pod górę. Poczęły pękać szrapnele, ogień rozgorzał gwałtowny w okopach rosyjskich...

W kilka dni potem dowiedzieliśmy się, że był to ostatni atak por. Sarmata.

St. Falkiewicz.

II.

OSTATNIA NOC POR. SARMATA.

(epizod z bitwy pod Konarami).

Zapadł mrok. — Po gwałtownej, wiosennej burzy wstawały opary wieczorne, — ziemia oddechała pełną piersią jak człowiek, który skończył właśnie ciężką pracę i do dobrze zasłużonego gotuje się spoczynku.

Nieszczęsny piąty batalion, któremu tak ciężkie na dziś przypadło zadanie, zbierał się w Ulanowicach, nie mogąc się doliczyć nie tylko szeregowców i podoficerów, ale komendanta kompanii drugiej Sarmata brakło, a i samego kapitana Herwina napróżno szukano. Pozycje zaś przed wsią Pokrzywianką, batalion trzeci pierwszego pułku zajął. We wsi przy drodze głównej, w punkcie, gdzie dzień cały sanitaryat piątego pracował, — zajął teraz stanowisko lekarz pierwszego pułku dr Jakowicki i do pracy na dzień następny się gotował. — Noc już była zupełna, godzina dwunasta może, gdy komendant pułku pierwszego, major wówczas, Edward Rydz-Śmigły, z pozycyi wróciwszy do kwatery lekarskiej wszedł. Towarzyszył mu ordynans tylko. Dr Jakowicki herbatą poczęstował i milczenie zaległo obszerną izbę, milczenie ludzi czekających i myślących o rzeczach wielkich i ciężkich. Wiedzieli, że bój jutro czeka ich krwawy i zadanie niełatwe. Slabo migotająca świeca kładła cienie po ścianach i na twarze siedzących. — Ruch wtem i ciężkie liczne stapania rozległy się w sieni. — Podniósł Śmigły głowę; gdy drzwi się otworzyły i żołnierz w nich stanął:

— Sarmat! — z ust obecnych wybiegło.

— Gdzie Herwin? — zaraz Śmigły spytał. A Sarmat, z którego twarzy znużenie ogromne i walki całodzienniej znój bił i rysy twardo złobil:

— Niosą go, — odpowiedział i uprzedził pytania dalsze ręką machnięciem. — A weszli już żołnierze, dźwigając nosze, a na nich bezprzytomnego komendanta piątego batalionu. Na lekkie ust poruszenie:

— Co? — Jaka rana? — glucho Sarmat odpowiedział:
— W głowę! — I wraz dr Jakowicki przyklął przy kapitanie. Sanitariusz się zakrzętał, a Śmigły Sarmata na bok wzięwszy, o walkę pytał. — I przeżywał ten bój po raz drugi, opowiadając. Znać na nim było znużenie bezmierne, zmęczenie ogarniające przemożnie, nawet tak jak on silnego człowieka. — Opowiadał, a już Jakowicki opatrunek skończył, słowa nie rzekł, ale z twarzy poznaliśmy, co o rannym sądzić.

Kwaterna majora była w Ulanowicach, po prawej stronie drogi z Pokrzywianki wiodącej. Godzina druga może była, gdy doszliśmy.

Krótką rozmowa z brygadierem Piłsudskim, który

obok stał i sen, sen tak potrzebny, tak pożądanym. — Legli oficerowie pokotem w izbie włościńskiej, legł Sarmat od ściany się ułożywszy i nie przecul nikt z nas, a zapewne i on sam nie wiedział, że wszędzie wprawdzie dlań słońce, ale w kilka godzin potem zgaśnie, na wieki już.

Wstał ranek dnia 21-go maja i ruszyliśmy na pozycje, na których tyłu z nas na zawsze pozostało. Poprowadził por. Sarmat-Szyszlowski kompanię swą, ale nie on już ją z pola odprowadził. — Nie czekając na noc drugą, legł w polu i ukolysał go zboża szumiące, do snu wiecznego.

R. H.

N E M O : P O W I T A N I E.

Ulice obumarły. Świeciły się wszystkie latarnie, rzucając pogrzebowy blask na mury. Domy tkwiły w podłożu swem jakby odrętwiałe tem, co przyjsć ma i chociaż z poza gęstych stor tylko gdzieniegdzie przesiewało się światło, wiadomem było, że wszystko czuwa wewnątrz, że nic niema odwagi zasnąć. Jak dusza w bezsennem cieple, zataczali się ludzie w obłądnej wędrówce od ściany do ściany mieszkań. Aby zasnąć, ileż trzeba mieć zaufania! Oto, czego dowiedziano się nareszcie ze zdziwieniem. O tem przez całe życie nikt nie pomyślał. Idę spać... ot, rzecz zdawała się dotąd prosta. A tu... nie.

Owe latarnie, płonące od zmierzchu do rana, na który to luksus nie pozwalano sobie dawniej w niewielkiem miasteczku, spoglądały jak przerażeniem wytrzeszczone oczy w czernią zagadkową, czujne, a płochliwe, każdej chwili gotowe rozewrzyć się do granic ostatecznych, wizy śmierci porażone, i zamknąć potem na wieki.

Czuło się, że to życie, zagrożone w samych podstawach swoich wyteża wszystkie władze, by dostrzedz zło pojęzne, idące... nieuchronne. Cała pewność, wszystko co było od pokoleń oczywistością nie podlegającą dyskusji, wyrażało się teraz w... nadziei.

— Może jednak ocalejemy... Byle nie znalazł się prowokator.

Od dwu dni miasto było bez pana. Wszyscy powtarzali:

— Ocalejemy... byle nie znalazł się prowokator... byle ktoś nie popełnił głupstwa...

A iluż złych i gotowych na każdą podłość było w mieście.

W ciemnem mieszkaniu, z przytulonemi do szyb twarzami siedziało dwu ludzi.

Właśnie wtem miejscu odchyłała się od ulicy głównej, przy której stał dom, wąska przecznica, oświetlona jedną tylko latarnią, dalej czarna, tajemnicza. Prowadziła na dworzec i niedawno była dosyć ruchliwa. Dziś zdało się, idzie w dal nocy, skąd ma przyjsć zło. Dworzec znikł, roztopił się w ciemni, jakby w poczuciu, że o niego to właściwie najbardziej idzie, że dozna czegoś złego i zło to sprowadzi na otoczenie... okrył się ciemnością, jak dziecko chustką matki i myślał jak inni:

— A może ocaleje...

Dwaj ludzie, siedzący przy oknie, rozmawiali półgłosem i palili papierosy.

Często urywał któryś w pół zdania, chował papierosa za ramę okienną i nadśluchiwał.

— Otwórzmy okno! — powiedział młodszy, chudy, wysoki.

Nie... nie... — sprzeciwił się starszy. — Proszę cię, nie

otwieraj. Mogą już być i myszkować cichaczem. Szyba załśni w świetle latarni... to ich zwabi... to zwabi niezawodnie.

— Jestem pewny, że jeszcze niema nikogo. Mam nawet ochotę wyjrzeć na ulicę.

— Nie pozwolę, za nic. Widno jak na dłoni, zmierzy do ciebie, jak do tarczy na strzelnicy.

— Podobno źle strzelają.

— Ot, gadanie... może zresztą i źle... nie wiem, ale nie wychodź.

— Która godzina?

— Już druga....

— Dopiero druga... Wiesz co, ja mam dość tego. Chodźmy spać. Nie rozbierzemy się oczywiście. Ty na tej kanapie, ja we fotelu, odpoczniemy... co to...?

Jakiś zgrzyt nadbiegł z oddali... zgrzyt, jakby ktoś piłował żelazo...

Obaj znieruchomieli przy oknie. Zgrzyt zbliżał się. Towarzyszył mu teraz jęk przeciągły....

— Auto! — szepnął starszy.

Jęk zbliżał się szybko, można było już teraz dokładnie rozpoznać, że jakiś automobil pędzi z zawrotną chyżością.

— Ależ pędzi! — powiedział starszy.

— Skąd wiesz? — spytał drugi.

— Poznają po gwizdzie.

— Czyj? Nasz?

— Skądżeby nasz... Zbyt niebezpieczne... Patrole widziano przecież już wczoraj.

— Gadanie o tych patrolach... patrz!

W tej chwili migła popod okno czarna sylweta automobilu. Patrzący ujrzeli pochyło od przodu wozu sterujący nóż do przecinania drutów nieprzyjacielskich, przeciągniętych w poprzek drogi, dwie czapki nisko pod pęd pochyłone, zwisające z tyłu fałdy złożonego dachu i hieroglif kurzu wyrzucony w górę tylnemi kołami, które darły ziemię z zaciekłością nieporównaną. Pędził czarny, jak widmo, latarnie nie świeciły się.

— Nasi! — powiedział młodszy...

— Oni? Nie ulega kwestyi... Moska! — zaprzeczył drugi.

Nagle, gdzieś niedaleko padł strzał.

— Widzisz, że nasi! — tryumfował młodszy.

Strzał zahuczał w ciszy przerażenie. Niezwłocznie też poczerniały wszystkie okna mieszkań naprzeciwko. Latarnie, zda się, świeciły teraz białą, jakby trupiemi jankiem światłem, wobec którego różowy ton gromnicy jest jeszcze niezmiernie wesoły, żywy, pociągający...

— Moska! są w mieście... — szepnął starszy.

Zapadło milczenie. Tak więc stało się. Przyszło owo zło, którego oczekiwano. Nie zjawilo się jako burza, jako huragan łamiący drzewa. Przybyło cichaczem, z zakrytą twarzą, chyłące się ku ziemi, pełzające, lękliwe... tem straszniejsze.

Powiedziało raz tylko: Jestem! Potem zamilkło, zaszyło się w cieniu uliczek nie rozświetlonych ochronną szeżogą latarni... Siedziało tam gdzie ostrząc pazury, podłe, niskie, gotowe zarówno skoczyć do gardła, jak wziąć ogon pod siebie i uciekać na oślep.

Ale nie mogła przeciw niemu pomóc odwaga. Miało tysiące rąk, mnóstwo węzowych opłotów, które zwite leżały w czerni, a przeżyły się do ruchu. Ustupując tu, zagarniało z innej strony. Przyszło i znalazło wszystko leżące twarzą na ziemi, zamrożone strachem...

Bezpańskie miasto, czemże się miało bronić.

— Byle nie zrobił ktoś głupstwa...

Tak się teraz nazywała odwaga, bezpośredni, uczciwy odruch oburzenia.

Siedzieli bez słowa, nadsłuchując bacznie, a obok lęku czaiło się w duszy każdego naiwne, dziecięce pytanie:

— Jak też to będzie wyglądało.

Nagle zahuczalo. Trzask się rozległ, przedmiot jakiś spadł i z dźwiękiem tłuczonego szkła stoczył się na ziemię.

Zdrętwieli obaj. Siedzieli przez chwilę nieporuszeni, pewni, że to zło nieznanne, tajemnicze już jest blisko... tuż, tuż... w domu, w pokoju...

Krew im zamroziło owo bezgłose pełzanie, niewyczuwalne zbliżanie się śmiertelnej potęgi.

W ciemnej głębi pokoju był ktoś... ruszał się najwyraźniej... czuli, że się posuwa.

Nagle, na kolana starszego skoczyło coś. Zerwał się z krzykiem.

Na podłogę zeskoczył wielki kot, podniósł w górę głowę zdziwiony, zjeżył sierć, cofnął się o krok i dał potężnego susa pod szafę.

— To Mruzek! — powiedział młodszy i westchnął z ulgą. — Kyć... kyć! — zaczął wabić kota, ale daremnie. Zdziwiony przyjęciem, a może świadomy swej winy Mruzek nie chciał wyleść z pod szafy.

— Strąciła coś szelma — rzekł starszy — mniejsza z tem zresztą. Jak ci się zdaje, czy oni są... czy już są?

— Możliwe... chociaż... przecież powinnyby przyjsć patrol... wydaje mi się, że to się tak dziać powinno. Patrol konny, złożony z kilku ludzi... patrzno tam...

Na jasno oświetlonej ścianie przeciwnego domu zamajaczyły dwie postaci. Wydały się nadludzko wielkie. Dwaj kozacy, w niezmiernie wysokich czapach, bez koni szli trotoarem. Nie było słycać odgłosu kroków. Widocznie owinęli buty szmatami. W rękach ściskali gotowe do strzału karabiny. Szli chyłkiem, popod ściany, a doszedłszy do punktu gdzie dzieliły się ulice, przystanęli. Rozglądali się przez jakiś czas.

Młodszy z czuwających, przyłożył twarz do szyby i patrzył z zajęciem. Nie widział dotąd kozaka. Cienie chwiały się ruchem dziwnym na ścianie. Kiwały się w jakichś nieznanach pokłonach, ogromne ręce latały po wszystkich piętrach, jakby szukały poprzez mury zdobyczy. Kozacy spierali się o coś. Jeden pokazywał przed siebie, drugi w stronę przeciwnicy. Rozmawiali raczej na mię, czasem tylko padło przyciszone słowo w nieznanym języku.

Młodszy podniósł się szybkim ruchem z krzesła i pokręcił klamką okna. Otworło się cicho, bez szelestu do wewnątrz. Starszy rzucił się ku otwierającemu i chwycił

go za rękę w porę jeszcze, by nie pozwolić na otwarcie okna zupełnie.

— Waryacie! — szeptal zduszonym głosem. — Co robisz?... Waryacie... waryacie!

Posadził go przemocą na krzesło i zasłonił uchylone okno białą, przejrzystą firanką.

Szczęściem, uwadze kozaków uszło błysnięcie szyby. Spierali się przyciszonym głosem dalej o coś. Nagle jeden z nich pokazał drugiemu żaluzję sklepiku o kilka kroków od miejsca, gdzie stali. Żaluzya spuszczone była i zamknięta u dołu na zamek.

Porozumieli się szybko, przykucnęli pod sklepikiem i poczęli majstrować.

— Słuchaj Władek! — powiedział starszy stanowczym, jednocześnie cichym głosem. — To, co zrobiłeś, mogło nas obu pozbawić życia. Pamiętaj. Miej zastanowienie.

Z ulicy dochodził teraz odgłos pilowania. Zgrzyt żartej jakimś narzędziem blachy rozlegał się donośnie. Kozacy nie starali się zachowywać cicho. Wobec nadziei lupu zapomnieli o ostrożności. Zreszta kogóż się mieli bać... właściciela?

Starszy mówił do młodszego pociechu.

— Najwyższa ostrożność... Do ostatnich granic posunięta ostrożność jest rzeczą niezbędną, aż do chwili, kiedy zjadą jakieś władze. Strach pomyśleć, jak tu przeżyć dzień jutrzejszy. Jak się zachować...

— Ja, właściwie — odparł młodszy — wolę, że już przyszli. Nie mogę się oprzeć uczuciu jakiegoś dziwnego, głębokiego uspokojenia. Najbardziej gnębiło mię czekanie. Dziwię się, że nie osiwałem wczoraj. Już są... już nie czekamy, już nie będzie tych strasznych, wymarłych ulic... lepiej... dużo lepiej... Jestem niemal spokojny... wiesz?

— Co ty gadasz... co ty gadasz... jak można mówić o ukojeniu. Ale cicho, nie rozmawiajmy. Mogą usłyszeć. Widzisz, jeden podnosi głowę, czegoś nadsłuchuje.

Jeden z pracujących zadął głowę w górę. Potem wstał, odstąpił kilka kroków i zaczął patrzeć na piętro domu, w którym mieścił się sklepik. Ale okna były czarne, zasłonięte storami. Czy kto słycał czy nie, nie odgrywało przecież żadnej roli, za nic na świecie nie byłby się nikt odważył zejść na dół.

Patrzący powrócił po chwili do zajęcia.

Popracowali jeszcze trochę, wstali i chwyciwszy oburącz nadpilowaną blachę, zaczęli ciągnąć ku sobie, zaparlży się obcasami o krawężnik trotoaru.

Z głuchym, przejmującym warknięciem rozdarła się podpilowana blacha i ukazał się dosyć wielki otwór czarny.

Kozacy zabrali się do dzieła ze zdwojoną nadzieją energią. Nie zważając już całkiem na hałas, krajali blachę i wnet błysnęły szyby drzwi wchodowych sklepu.

— Świta! — szepnął jeden z patrzących.

Noc się skończyła. Z dali poczęły występować ukryte tam kształty. Przeczniça przedłużyła się... okoliły ją domy, obrzeżyły pokryte jeszcze liśćmi jesiennymi drzewa. Trotoary leżały jak linie białe na szarej płaszczyźnie, długie, białe linie szkolne, nachylone ku sobie, stykające się niemal tam, gdzie na tle nieba rysować się zaczynały powoli, niechętnie jakby, sylwety budynków kolejowych. Latarnie łyskały teraz jak migotliwe punkci.

Dom naprzeciwko, biały był już całkiem. Okna poczęły przelyskiwać gdzieniegdzie, ukryte kędyś wysoko, na kominie, czy wśród gżemsów pod dachem zaćwierkały wróble. Zrazu nieśmiało, trwożnie, potem coraz

częściej, przybywało co chwila ćwierkotu i wreszcie popłynął śpiew chóralny, donośny, beztroski. Tam, wśród ptaków, nie bał się nikt. Wojna nie odgrywała żadnej roli, czapy kozackie nie dziwiły zgoła. Wróbel jeden sfrunął na ziemię i podskakiwał przymilnie o krok od pracujących w pocie czoła kozaków, po trotoarze. Czekał poprostu na otwarcie sklepu, z uzasadnioną pretensją do śniadania.

Drzwi były już otwarte. Kozacy wchodzili naprzemian i wynosili wielkie naręcza rozmaitego towaru. Składali to po kolei na rozesłanej na ziemi płachcie. Niebawem spiętrzyła się znacznej wysokości góra. Pojedynczych rzeczy nie można było jeszcze rozpoznać, ale widać nie przebierali wcale, biorąc, co wpadło pod rękę.

Wreszcie zaczęli szwargotać do siebie, wskazując ku wschodniej stronie. Widocznym było teraz, że się spieszą. Ładowali jeszcze przez chwilę, potem zaczęli związywać końce płachty. Nie chciały się zejść, tedy zaczęły wypychać różne rzeczy do kieszeń, za pazuchę, gdzie mogli. Wreszcie wyrzucali mniej cenne rzeczy na ziemię. Nakoniec udało się związać płachtę i utworzył się ogromny toboł. Jeden z kozaków przyklęknął, a drugi z mozołem nieładnie wtoczył mu brzemień na ramiona. Ciężkie być musiało, bo aż przyklęknął przy robocie. Dźwigający, ze zgiętymi nogami postąpił krok i czapa spadła mu na ziemię. Zatrzymał się. Drugi wziął na ramię oba karabiny, podniósł czapę i coś wrzasnął, wskazując ku wschodowi. Obladowany zaczął toczyć się z trudem na środek ulicy. Właśnie znalazł się przed oknem patrzących, gdy nagle w dali zatętniało. Ostro dźwięczały podkowy biegących, zda się po bruku, koni. Dźwigający czynił nadludzkie wysiłki, by dojść do niskiego par-

kanu, biegnącego wzdłuż parceli sąsiadującej z domem skąd patrzyli dwaj przyjaciele. Chciał go prawdopodobnie przerzucić przez parkan i w ten sposób ukryć przed oczyma nadjeżdżających. Ale nie zdążył. Tętent stawał się z każdą chwilą głośniejszy, wreszcie kozacy dali za wygraną i rzucili się do ucieczki w przecznicę.

Obaj patrzący stali teraz w otwartym oknie. Ciekawość przemogła obawy. Młodszy wychylił się pół ciałem i wysłał oczy na spotkanie nieznanego sobie wojska.

Za chwilę wynurzyła się pierwsza postać. Z długą spisną pod pachą, na małym koniku jechał truchtem kozak. Jechał nie trzymając w rękę cugli. Przerzucił je przez łęg siodła, a za to trzymał w lewej ręce pistolet. Na głowie miał czapę z czerwonym denkiem, a na spodniach jego jaskrawiły się podwójne czerwone pasy. Karabinek na plecach podskakiwał przy każdym ruchu konia.

Ujrawszy leżący na drodze toboł, zatrzymał się i obróciwszy się na siodle, coś gadał do jadących za nim. Niebawem utworzyła się na środku ulicy grupa jeźdźców. Jeden z nich, jakiś starszy widocznie, rozejrzawszy się wokół, rzekł:

— Katoryj sukinsyn zdielał eto? Haa? Nu zabierit... zabierit skariej!... — dodał, zwracając się do podwładnych, którzy zaczęli zsiadać z koni.

Nagle spojrzenie jego padło na stojących w oknie.

— A to czto? Haa? To wy, mierzawcy... Ha dragany... ja wam...

Podniósł do okna pistolet.

Błyskawicznie, zanim patrzący mogli wykonać ruch jakiś, padł strzał.

Młodszy krzyknął głucho, zachwiał się, rozkrzyżował ręce i zwałił się na wznak.

EMMA ROSZYŃCÓWNA: IGRASZKI PANA.

Ciąg dalszy.

— Trzymaj się w lesie blisko mnie — radził znowu Iwanow biedronce — a narąbie ci szablą tyle gałęzi, ile tylko udźwignąć zdołasz. Kirku, — zwrócił się do kozaka — ten buk jakby umyślnie dla mnie wyrósł, a ten drugi, jakby umyślnie dla ciebie... Rufule tamten pokrecony chojak wystarczy.

— Pójdziemy tą ścieżką między malinami, dziewczęta — komenderowała Oleśka. — Tam jest najwięcej suchego chrustu.

— Zostańcie z nami — radzili saldaci.

— My nie głupie zostać! — wołały dziewczęta. — Niechno was paniez przyłapie na kradzieży, da wam!...

— A wy po co niby w las idziecie?! — krzyczeli za nimi Moskale.

— Co zbierać chrust, to nie drwa rąbać!

Kozak pobiegł jeszcze parę kroków za Oleńką.

— Rzeknij mi choć jedno słowo na pożegnanie — prosił piękną dziewczynę. Com ci zawinił?...

— Już powiedziałam. Więcej nie mam nic do powiedzenia.

Wrócił się ze zwieszoną głową do towarzyszków. W połowie drogi przydybał Rufulę, który z oczyma utkwionymi w obie stryjeczne siostry, włókł się za nimi, jak zahypnotyzowany, w głąb lasu. Energiczny szturchaniec w plecy przywołał go do przytomności. Ujął niezgrabnie w lewą rękę podaną mu przez Kirka wyszczerbioną siekierę i próbując jej ostrza, spoglądał tęsknie na ścieżynę, którą poszły czarne czereśnie i jego srebrne pieniądze.

Stryjeczne siostry zniknęły już bez śladu w płowej gęstwinie. Na ścieżce widać było jeszcze tylko biedronkę, która, jak zwykle, katowała się na samym końcu. Obok niej dreptał biedny pasikonik i co chwila obracał bładą twarzyczkę w miejsce, gdzie pozostał wydarty mu przez starszą siostrę i porzucony bukiet z wilczej jagody.

Turek westchnął, pomacał się ręką po zacerwienionej trochę z jednej strony twarzy, w której dopiero teraz ból odczuł i rzucił się zajadle, niby na sprawcę tego wszystkiego, na suchotniczego chojaka.

Tamci dwaj wyciągnęli, nie wiedzieć skąd, piłę i wzięli się także do swoich buków. Do głuchego stukotu wyszczerbionej siekiery o pień chojaka, wmieszał się zrazu cichy, a potem coraz głośniejszy śpiew kozaka i falą tęsknoty, niby mętnej wody, która z nieznanych głębin duszy ludzkiej wypływa, opłynął las cały:

Kru — kru...

Ja umru

Na czużyni...

Ośmnastoletni Rafael Łabędź Pomianowski siedział przy oknie nad grubym, w czerwień i złoto oprawnym tomem Szekspira. Delikatną, jak u dziewczyny, ręką osłonił sobie oczy od słonecznego blasku i czytał półgłosem:

On uciekając od widoku światła,
Co tchu zamykał się w swoim pokoju;
Zastaniał okna przed jasnym dnia blaskiem
I sztuczną sobie ciemnicę utwarzał.

On także przed żółtą, drgającą plamą słońca, kładąc na się natrętnie na białych kartkach, objechał z książką już cały stolik dokola. On tak samo, jak Romeo nie lubił słońca...

Niegdyś, za życia ojca, nienawidzącego sentymentalizmu i romansowości, Rafael był zwyczajnym Rafałem, którego co dnia, po pas obnażonego, zlewano przy studni wiadrem zimnej wody, sadzano na koń i wyprawiano na pół dnia w pole, pod czerwcowe lub lipcowe słońce, pilnować żeńców albo kosiarzy. Po śmierci ojca matka, pani Lula Łabędź Pomianowska, zdecydowała, że imię Rafael będzie lepiej harmonizowało z cherubiniową zaiste urodą chłopca i ze zwyczajnego Rafała stał się Rafael — wychuchanym i delikatnym, niby krzew ciepłarniany albo te kwiaty, co dopiero zmierzchem otwierają swoje białe, gwiazdziste kielichy, Rafaelem.

Chłopca moczono co dnia w kolońskiej wodzie, okładano go plasterkami cytryny, karmiono bromem i pojonu laurowymi kroplami, podtrzymywano amoniakiem i trzeźwiącemi solami, i szkicowano mu po czole od rana do wieczora migrenowym ołówkiem. Rafał był w wieku najpodatniejszym wszelkim obcym wpływom, kochał bardzo matkę i uwierzył w końcu, że jest czemś zupełnie różnym od swego przyrodniego brata, Stefana, uwijającego się od świtu do ciemnej nocy po stajniach, oborze i polu, czemś kruchem i delikatnym, niby filiżanka ze starej porcelany, przez którą, gdy się ją trzyma w rękę, przeświecają palce.

Do sentymentalizmu, codziennie przez matkę pod postacią pieśzczoł, rozmów, książek wlewanego dużemi łyżkami w duszę chłopca, domieszała się niebawem nie-szczęśliwa miłość, o ile miłością można było nazwać rozwichrzone, niby mgła w październikowy ranek uczucie, które Rafael żywił dla dalekiej krewnej ojca, od czterech lat pod ich dachem przebywającej, hrabianki Krystyny Słoneczewskiej. Panna była niezmiernie bogata, zupełna sierota i dochodziła już trzydziestki. W pierwszej młodości coś, miłość czy tragiczne rodzinne przejścia, zwichnęło jej życie i powlokło raz na zawsze smutkiem jej piękne oblicze. Niemniej ze smutkiem tym hrabiance Krystynie było bardzo do twarzy. Dobjano się o nią i o jej krocie. Dobjano się daremnie. Potem dobijac się przestano. Pani Lula Łabędź Pomianowska wiedziała o miłości swego jedynaka do kuzynki i dość łaskawem okiem na nią się patrzyła. Niezbyt majątny Rafael Pomianowski, uboższy nawet od swego przyrodniego brata, jako mąż starej, ale bogatej żony, byłby w możności nie zlewać ale kąpać się codziennie w kolońskiej wodzie, oddychać to egipskiem, to dla odmiany szkockiem powietrzem i otaczać się najpięszymi w Europie lekarskimi powagami. Zdaje się, że starszy brat kochał się także w Krystynie, jakkolwiek nie mdlał z tego powodu dwa razy dziennie i nie alarmował co godzina wszystkich mieszkańców dworu, nie wyłączając starej garderobianej Kołaczkowskiej i jej wnuka, kuchcika Jędrusia, sercowymi atakami.

Kuzynka zdawała się nie zwracać zupełnie uwagi na krótkie i jasne, jak płomień błyski w oczach starszego Pomianowskiego, ani na wniebowzięte lub obłąkane z rozpacz, oczy młodszego. Co prawda, Rafael sam nie wiedział dobrze, co mu zawiodło duszę do nieba: spotkanie się Słowackiego z panną Wodzińską nad błękitną kaskadą Aaru, czy też spotkanie kuzynki po obiedzie w grabowej alei — ani też co go wtrąciło na same dno w otchłań rozpacz: śmierć Julii, czy też fakt, że Krystyna wręcz mu odmówiła, gdy ofiarował się jej czytać głośno świeżo nadeszłe z poczty francuskie dzienniki, nie mogła bo-

wiem znieść jego modulującego z afektacją głosu. Raz jeden tylko dała poznać, że wie o jego miłości.

Było to z początkiem pamiętnego sierpnia. W powietrzu z jednego krańca Europy na drugi przebiegały niesłychane wieści, niby piorunowe zygzaki. Ziemia zdawała się ze wszystkich stron gorzeć i buchać płomieniami. Dziwnem nawet wydawało się ludziom, że jeszcze nie widać ognistej łuny i dymu za lubienieckim lasem i że niebo nad nim ciche, błękitne i spokojne, jak innych lat. Stało się to istotnie, ale nieco później. Krystyna całymi wieczorami do późna w noc chodziła ze Stefanem tam i napowrót grabową aleją. O czem rozmawiali, nikt nie wiedział. Pani Lula wprawdzie starała się coś trzeciego wieczora, przechodząc się najciszej jak mogła równoległe idącą do grabowej alei agrestową ścieżką, ale czy tusza krok jej uczyniła zbyt ciężkim i żwir skrzypiał pod jej stopami, czy też ogon domowej, powłóczystej sukni, w które z upodobaniem się stroiła, zaczepiał o agrestowe gałązki i łamał je z trzaskiem, dość, że usłyszany urywek rozmowy nie odkrył jej ani rąbka zasłony z tajemniczych rozmów w grabowej alei. Hrabianka Krystyna z niezwykle u niej zajęciem rozprawiała o wążkach spodnicach i ubolewała, że świetności wszechwładza ich panowania nad kobiecym rodzajem od czasu pokazania się w Paryżu modelów Jeanne'y Lanvin ma się ku schyłkowi. Stefan znowu, który rumienił się nawet na widok nogi własnej macochy, przyzwoicie zresztą odzianej w popielaty jedwab i odsłoniętej na cztery palce zaledwie powyżej kostki, ten sam Stefan rozprawiał z zapalem o ażurowych pończochach i o niezwykle wysokich tego roku u modnych dam obcasach...

W parę dni potem w eleganckim buduarze pani Luli przyszło między macochą a pasierbem do burzliwego starcia. O tym samym czasie panna Krystyna siedziała z Rafaelem w ogrodzie na małej, biało lakierowanej ławeczce. Z otwartych okien buduaru aż tu dochodził wysoki i wzbudzony głos pani Luli i cichszy, ale stanowczy głos Stefana. Hrabianka Krystyna, wpatrzona w płonący u jej stóp jak duże ognisko klomb nasturcyi, której czerwone i pomarańczowe kwiaty zdawały się lizać płomykami jej małe trzewiczki, namyslała się nad czemś głęboko. Rafael starał się zapamiętać, którego kwiatka dotknęła się jej stopa, by go później zerwać i zasuszyć. Nad klombem latały ciężko dwa czy trzy duże motyle, o czarnych, jakby okopconych od ognia i dymu skrzydłach.

Panna Krystyna podniosła nagle głowę jak ktoś, kto w labiryncie błędnych myśli właściwą myśl odnalazł i położyła na leżącej na ławce ręce Rafaela swoją rękę.

Na delikatną twarz chłopca buchnęły płomienie.

— Czy pamiętasz Rafaelu ten wieczór, gdyśmy razem w teatrze na „Warszawiance“ byli?

— Pamiętam. Miałaś, kuzynko, tego wieczora na sobie białą suknię z weneckich koronek...

— Ach, nie o to mi chodzi — przerwała mu trochę niecierpliwie Krystyna.

— A u gorsu miałaś wtedy przypięte ciemno-purpurowe, aż czarne róże. Wyglądały na twojej piersi niby rana, pełna skrzeplej krwi. Byłaś niby ta Polska, której widmo Wyspiański w ten wieczór wywołał z grobu, niby Twardowski ducha królowej Barbary i pokazał ludzkim oczom.

Krystyna nie zdejmowała swojej ręki z ręki chłopca.

— Musiałam oczywiście wyglądać niecodziennie w owej sukni z koronek, kiedy mię tak zapamiętałeś — rzekła jakby od niechcenia.

Ciąg dalszy nastąpi.

P R Z E G L Ą D.

FILOZOFIA WOJNY.

Potrzeba zdania sobie sprawy, w czasie toczącej się właśnie walki narodów, z tego, czym jest wojna, wzięta pod kątem filozoficznego na świat patrzenia, jakie jej w sferze problemów intelektualnych znaczenie i jaką jej moralno-etyczna strona, jest objawem wysoce znamienym. Świadczy bowiem tak dobrze o zawsze żywej skłonności ludzkiego umysłu do krytycznej oceny otaczającej go rzeczywistości i powiązania jej poszczególnych manifestacji w żelazny splot przyczyn i skutków — więc o jego tendencji filozoficznej, jak równocześnie jest i wyrazem pełnego, a w następstwa płodnego, uświadamiania sobie ze strony ogółu ważkości zaszłych wypadków, głównie ze względu na ich znaczenie dla przyszłości, co bez porównania większą posiada doniosłość. Filozof czy uczony, próbujący społeczeństwu wyjaśnić ideową wartość tej zawiłej i groźnej kwestyi, której na imię wojna, spełnia zadanie dużej miary, które będzie tem większem, im bardziej zdoła do myślenia pobudzić ogół, im trafniej na podstawie badania przeszłości, pojętej ogólnie, uda mu się określić rolę terażniejszości w grze przyszłości. Z jego wywodów bowiem skorzysta równie dobrze przeciętny czytelnik, szukający odpowiedzi na dręczące go pytania, jak skorzystać powinien polityk i mąż stanu, zdarzeń nawą kierujący, lub w nich współdziałający. Podejmując ten trud, spłaca filozofia znakomicie swój dług wdzięczności wobec ludzkości, a co ważniejsze, wykazuje tak często w wątpliwość podawany swój związek z życiem i swoją w niem kierowniczą rolę, która będzie nie mniejszą anno domini 1914/15, jak nią była lat temu dwa czy trzy tysiące.

Literatura dotycząca tematu, o który tu chodzi, przedstawia się w Niemczech — a do nich jesteśmy na razie ograniczeni — na ogół dość pokąźnie, co zresztą zapisać należy jako stanowczy „habet“ w bilansie kulturalnego dorobku rasy germańskiej. W pervodycznych pismach niemieckich, roi się od mniej lub więcej poważnych fejetonów czy artykułów, na wspomniane powyżej tematy, a wśród ich autorów nie braknie nawet i takich nazwisk, tak Wundta i Euckena. Również licznymi są wydawnictwa książkowe, exemplo: „Perthes Schriften zum Weltkrieg“ lub „Der Kampf des deutschen Geistes im Weltkrieg“. Zdaje mi się, że niepozbanionem szerszego interesu będzie zapoznanie się z jedną z podobnych publikacji, tj. z książką wiedeńskiego uczonego i autora znanej „Krytyki hedonizmu“, p. Henryka Gomperza. p. t. „Die Philosophie des Krieges in Umrissen“ (Gotha 1915. Perthes Verlag.). Złożyło się na nią sześć odczytów, wygłoszonych przez autora na kursach wiedeńskiego uniwersytetu ludowego. Co zaś ją wśród wielu opracowań tego rodzaju wyróżnia, to w pierwszym rzędzie bogactwo poruszonych w niej, nawskróś aktualnych tematów, dalej oświetlenie ich obiektywne, bezparcyalne, a oparte stałe o pracowicie zebrany i pomysłowo dobrany materiał historyczny, wreszcie forma gładka, przystępna i niepozbaniona zalet literackich. Pan Gomperz unika na ogół starannie wszelkich aluzji politycznych, mających związek z bieżącymi wypadkami — a przynajmniej usiłuje, o ile to czyni, być możliwie bezstronnym, w myśl przyjętej, a uznania godnej, naczelnej zasady, że „nie leży w jego planach wzbudzanie i podsyćanie nienawiści lub pogardy dla przeciwników, a gloryfikowanie i usprawiedliwianie tego wszystkiego, co dzieje się we własnym kraju“ (str. 5). Zamiarem jego jest wypracowanie spokojnego, wolnego od zawiści, a poczuciem sprawiedliwości nacechowanego obrazu udziału jednostki

w pracach całości, krótko mówiąc, obowiązku tejże jednostki wobec społeczeństwa „tempore belli“ (str. 6). To też zastrzega się z góry, że mówić będzie nie o jakiejś poszczególnej wojnie, tem mniej zaś o bieżącej, a rozważy jedynie stanowisko filozofii wobec pojęcia wojny, więc wobec wojny wogóle i określi rolę i położenie narodu, porwanego w wir czynów orężnych, narodu, pojętego, jako „abstractum“ (str. 6 i 8). Założeniu temu pozostaje prawie że zawsze wiernym, co uwidacznia się głównie przy rozważaniu stawianego i do znużenia wertowanego pytania. kto jest sprawcą obecnej wojny i kto za nią ponosi odpowiedzialność. Narzuca mu się ono mimochodem na wielu miejscach — specjalnie zaś przy analizie etycznego uzasadnienia pojęcia wojny zaczepnej („Angriffskrieg“). Przy tej sposobności stwierdza najzupełniej słusznie, że wspomniana kwestya, niezaprzeczenie aktualna w chwili wybuchu zbrojnego zatargu, traci przy retrospektywnem badaniu wszelkie znaczenie i może a nawet powinna być pominiętą (str. 17). I oto weszliśmy in medias res pierwszego problemu, który porusza autor. A brzmi on: czy wojna wogóle jest czemś zasadniczo złem lub dobrem, czy istnieje różnica pomiędzy wojną sprawiedliwą a nie i na czem ona polega, która wreszcie z nich zasługuje na podobne miano a która nie? Spotykane nie rzadko sformułowanie: „Sprawiedliwą jest wojna o dobrą sprawę, niesprawiedliwą ta, którą się prowadzi o złą“, nie może oczywiście posiadać ogólniejszego znaczenia i nie daje rozwiązania, gdyż wprowadza pojęcia niejasne, które właściwie same domagają się zasadniczej korektury. Narzuca się bowiem pytanie dalsze, którą sprawę nazwać można dobrą, a którą złą — co znowu daje pole do snucia najdowolniejszych kombinacji. pozbawionych realnego podłoża. Nie ratuje też sytuacji formułka tego rodzaju, że chodzi tutaj o utrzymanie istniejącego stanu prawnego (Rechtszustand), że więc złą jest wojna, która stan ten usiłuje obalić, gdyż przykłady zaczerpnięte z historii, uczą, że przy krytycznem rozważaniu ich, zdecydowanego co do nich stanowiska zająć niepodobna, raczej, że jakiegokolwiek wartościowanie etyczne musi być tutaj raz na zawsze wyjętem po za nawias. Któż bowiem odważy się twierdzić, że powstanie środkowej i południowej Ameryki przeciwko panowaniu hiszpańskiemu, lub naruszenie ze strony Bułgarii tego stanu prawnego, który zwie się „układem bukareszteńskim“ z r. 1913, może sobie rościć pretensje do wyższej kwalifikacji moralnej. Która strona działała tu, z wyższego punktu widzenia rzecz biorąc, etycznie, a która nie, która z nich wykroczyła przeciwko ogólnym zasadom moralności — o ile o nich w danym wypadku mówić wogóle można — pozostaje nierozwiązaniem, a w każdym razie posiadać nie może obiektywnego uzasadnienia. To jedno pewne, że każda z nich, kierując się własnym, dobrze pojętym interesem i ten jedynie mając na względzie, uważała sprawę swoją za słuszną, a postępowanie swoje za dobre i sprawiedliwe. I oto tu leży, zdaniem autora, klucz do rozwikłania całego dylematu. Żołnierz, walczący o dobro swego kraju i egzystencję swej ojczyzny, kraj, naród lub państwo, prowadzące wojnę o swe najżywniejsze interesy, o ile one zostały zagrożone, postępują właściwie, ich sprawa jest sprawiedliwa, słuszną, etyczną. Bo „sprawiedliwą jest wojna, która stała się koniecznością, a miłym jest Bogu oręż wtedy, gdy wszystko inne zawiodło“, mówi ojciec teorii politycznego egoizmu, wielki Florentyńczyk, Niccolo Macchiavelli. (Prinz — 26. por. Gomp. 143). Stanowisko swoje w tym punkcie określa Gomperz niedwuznacznie, gdy

oświadcza: „Za sprawiedliwą uważać należy walkę o taką tylko sprawę, co do słuszności której zapasoby musiała nieodwołalnie korzystna decyzyja nawet wtedy, gdyby się ją powziąć miało na drodze czysto prawnych rozważań, nie zaś dochodzić jej z bronią w rękę (str. 130). I wtedy jest już wszystko jedno, czy jest to wojna zaczepna, czy odporna, gdyż właściwie rzecz ujmując, pojęcie walki kryje w sobie obydwie te możliwości. Będą się one tylko zmieniały kolejno u obydwóch grup walczących lub rozpoczynających walkę, zależnie od sprytu, energii, uchwycenia właściwego momentu i przygotowania każdej z nich. I jeszcze jedno zastrzeżenie. Wojna, która zasługuje na miano sprawiedliwej, toczyć się winna nie tylko o najżywniejsze interesy, ale także pod warunkiem możliwości korzystnego rozstrzygnięcia. To ostatnie zaś warunkuje nie tylko ilość wojska, stopień wydoskonalenia technicznego, organizacja i zdolność przywódców, ale przede wszystkim duch, który żyjąc w narodzie, ożywia jego obrońców w polu i poziom kultury, na jakim znajduje się dane społeczeństwo. Cytaty z Cycerona, św. Augustyna, Tomasza z Akwinu a głównie z Hugona Grotiusa, jakimi autor szczerze szafuje, mają mu posłużyć zarówno do utwierdzenia własnego stanowiska jak i do zezemplifikowania dróg, które mi myśl filozoficzno-państwowa kroczyła w ciągu wieków.

W związku z tem wysuwa się jednak zagadnienie dalsze, nie mniej istotne i w skład rozważań, o których ma filozofia wojny rozstrzygać, wchodzące. Posiada ono nawet co do swego praktycznego zastosowania zakres bez porównania większy. Mam tu na myśli stosunek wojny do pokoju, jego społeczną wartość i jego życiowe skutki. Nie nowym jest spór między pacyfistami a zwolennikami t. zw. militarysty, nie od dziś dnia datuje się akcja, mająca za cel zwalczanie wojny, a propagowanie „wieczystego pokoju“. Idea rozstrzygnięcia międzypaństwowych zatargów na drodze wzajemnych układów, lub wreszcie sądów rozjemczych starą jest jak świat a raczej jak wojny, a opiera się o niezaprzeczony fakt, jakim jest groza orężnego wystąpienia i jego straszne częstokroć następstwa. Wojna pozbawia ludzi życia, niszczy dobytek, rujnuje kulturalne zdobycze wieków. „Inter arma silent Musae“, mówi stare łacińskie przysłowie. Jest więc pierwiastkiem zła, jest czemś, co zniknąć winno z widowni ziemi, co bezwzględnie zwalczać należy. Istnieją jednak zarówno między narodami i państwami, jak między jednostkami, kwestye sporne, które domagają się rozstrzygnięcia — bo wszak „homo homini lupus“, a rozwój społeczny, to „bellum omnium contra omnes“, jak po nuro głosił stary Hobbes. Zachodzi więc tutaj antynomia, zasadnicza sprzeczność. Jak z niej wybrnąć? Marzyciele i idealisci, nie wahają się ani chwili — propagują „pokój wieczysty“, jako jedyną wytyczną, jako jedynie możliwy sposób rozwiązania. Bo straszną, przeokropną, jest wojna. „Nie rozumiem — pisze nawet Fryderyk Wielki — jak człowiek mógł wogóle wpaść na pomysł gruntowania i stwarzania swej potęgi drogą nieszczęścia i zagłady drugich... Jak śmie on dążyć do sławy poprzez ocean nędzy i cierpienia!... Każdy zdobywca jest jedynie sławnym zbójcem“ (Gomp. str. 147 i nast.) Herder dodaje do tego: „...Gdyby się pisać miało prawdziwą historię przyczyn, które doprowadziły do wojen w Europie od czasu wypraw krzyżowych. to byłoby to jedną z największych ironii, na jakie mógł tylko zdobyć się umysł ludzki“ (tamże str. 166). Voltaire zaś, konkluduje, że „dans toutes les guerres il ne s'agit que de voler“ (Oeuvres 1828). I oto o te punkty — w takiej lub innej słownej szacie wyrażone — zacierają pacyfiści wszystkich czasów i wieków, od starożytnych poczynając, po przez ojców kościoła i nowożytnych myślicieli tej miary

co Grotius, Leibniz, Kant i inni, aż na p. Suttner — „si magna parvis componere licet“, kończąc. Głosząc za wzorem Diogenesa ideał wszechczłowieczeństwa, podnoszą do wyżyn imperatywu zasadę „wieczystego pokoju“. Nigdzie dosadniej, a zarazem i monstualniej nie wyraziła się ona, jak w sławnej teorii Abbé de St. Pierre'a, opublikowanej w roku 1713 w książce „Projet pour rendre la paix perpetuelle en Europe“, na której zresztą oparł się i Rousseau.

Dał jej wyraz, w zmienionej coprawda i bardziej filozoficznie uzasadnionej formie, również i Kant w swym traktacie z roku 1795 „Zum Ewigen Frieden“ (Ges. Schr. t. VIII., — por. Gomp. str. 153 i nast.), a poszedł w tem za nim w swych latach młodzieńczych i sam Fichte starszy, ten sam Fichte, który w lat kilkanaście potem płomiennymi swymi „Rede an die deutsche Nation“ zagrzewał będzie naród do walki z francuskim ciemiężcą.

Ale i zwolennicy wojny nie pozostają dłużnymi odpowiedzi. Powołując się na swego duchowego ojca, „ciemnego mędrca z Efezu“, Heraklita, głoszą za nim, że „wojna jest ojcem wszechrzeczy“, powoduje bowiem „łączność w narodzie, wytwarza ruch, odświeża i na nowe, bogatsze wprowadza tory życia, eliminując z niego to wszystko, co słabsze, mniej odporne, starcze lub niedołążne. Budząc odwagę, otwierając pole bohaterstwu, poświęceniom, służbie dla idei, jest czynnikiem uszlachetniającym, ludzkość w jej duchowej wartości podnoszącym. Wszak rozwój świata, wszak stwarzanie nowych form życia indywidualnego, narodowego i państwowego, wszak rozrost kultury na tej jedynie odbyły się drodze, tą drogą doszły do skutku. Przykłady przytaczać zbyt liczne, pełno ich w annałach historii, ta zaś tej wielkiej uczy prawdy, że „primum vivere, deinde philosophari“.

Czy więc w tym pozornie zasadniczym sporze — zapytajmy z autorem — wolno nam z chwilą, gdy sondę krytyczną nieco głębiej zapuścimy, gdy rzecz ujmemy obiektywnie i oprzemy ją o momenty badawcze, opowiedzieć się za jedną lub drugą stroną? Czy dopuszczalnym jest twierdzenie, że z natury rzeczy pokój jest celem, wojna zaś środkiem do niego prowadzącym, lub czy wreszcie licuje z powagą nauki wyższe kwalifikowanie jednej lub drugiej z tych kardynalnych form współżycia ludzi na ziemi? Odpowiedź musi brzmieć jedynie: Nie! W świetle faktów realnych spór cały nabiera cech wyłącznie uczuciowych, obiektywnie zaś traci grunt pod nogami. Okaze się bowiem, że zarówno wojna jak pokój stają się kolejno celem i środkiem, że służą wspólnie jednemu a zarazem najwyższemu celowi, jakim jest proces życia, życie samo! Ono zaś płynie nieubłagane po przez coraz to nowe formy fazy. I oto na punkcie szczytowym jego fali pojawiają się raz po raz to wojna lub pokój, jako dwie konieczności, jako dwie równorzędne, niezastąpione wartości. „O cóż to obwinia się wojnę? — pyta św. Augustyn — czy o to, że umierają ci, co i tak kiedyś umrzeć muszą? Zarzut taki jednak, to nie pobożność, to teńczość!“

Gdy więc wojna i pokój są koniecznościami, zatem równie usprawiedliwionymi formami życia, iluzorycznym jest wyższe wartościowanie etyczne jednego lub drugiego. Nie są one czemś bezwzględnie dobrem lub złem, są tylko czemś, co działać się musi, a co wskutek tego ma prawo do równouprawnienia wobec wymogów etyki i moralności. Takim też, a nie innym, winno być stanowisko filozofa w stosunku do tego kardynalnego problemu. Odnosi się to oczywiście do pojęcia wojny, do wojny wogóle. O etycznych wartościach społecznym uprawnieniu i moralnym uzasadnieniu każdej poszczególnej wojny, rozstrzyga ją te warunki, o których na wstępie była mowa, z tym jedynie dodatkiem, że sprawiedliwą jest wojna o słuszną sprawę,

(wedle wyżej przytoczonej definicyi pojęcia „słuszności“), prowadzona humanitarnie, więc w myśl zasad i wskazówek cywilizacyi. Że granice tych ostatnich są giętkie i nie rzadko mogą być przekroczone, nie podobna tać. Tak, czy owak jednak, stanowić one winny ideał, ku któremu stale należy dążyć.

Łączy się z tem kwestya pojęcia kosmopolityzmu, dominująca w pytaniu: narodowość, czy ideał wszechczłowieczeństwa? Pan Gomperz, wykazując słusznie brak realnego uzasadnienia i faktycznej wartości tak skrajnie pojętego sformułowania, któremu życie przeczy zresztą na każdym kroku, uwidaczniając fantastyczność podobnej koncepcyi, rozwiązuje je trafnie w słowach: „Jako obywatel państwa i członek narodu, do którego należysz, bądź równocześnie także obywatelem świata“ (str. 198).

Narody rodzą się, nabierają sił, wreszcie chylą ku upadkowi — mniej więcej tak, jak poszczególny człowiek. Cza sami jednak giną śmiercią nienaturalną, gwałtowną, z cudzej ręki. Znowu tak, jak przeciętna ludzka jednostka. Uczą tego dzieje, i jest to znowu koniecznością życia. Ostają się silne, swej mocy, swego celu i posłannictwa świadome. Te zwyciężają. I tu znowu historia jest wskazówką, mówiącą daczego i z jakich przyczyn danemu narodowi pisany był zgon lub życie.

Refleksyą tą kończy p. Gomperz swoją książkę, którą bez przesady, nazwał na wstępie ze wszech miar ciekawą. Tu dodam: i wysoce pouczającą. O jej brakach nie pora i miejsce tu mówić. Ale jedno pragnąłbym dodać do finale autora: Oto, że czasami narody i zmartwychwstają...

Dr. Ludwik Zengteller.

Z TEATRU.

„Komedia omyłek“ wznowiona nazajutrz po „Ojcu marnotrawnym“, a w przeddzień „Pygmaliona“ czyli labędz Avonu w morderczych uściskach nałogowego obrazoburcy autorytetów. Bernard Shaw jest bowiem osobistym nieprzyjacielem Wiliama Szekspira; ozdobił go kiedyś komplementami tego kalibru: czezość myśli, fałsz moralności, zarozumiały przesąd i konsekwentne nieuctwo, poczem w drodze łaski zaliczył w szereg autorów tej klasy, co Dickens i Dumas ojciec. Tak zwana rewizya przesądu szekspirowskiego datuje się nie od dzisiaj; znaczą ją nazwiska tak nie nie mówiące, jak Rümelin, Benedix i Crosby. Ale za dni naszych obwoływał tę krucyatę sam apostoł z Jasnej Polany, Lew Tołstoj, oczywiście z ostatniego okresu jasnowidzących zamroczeń: zaprawdę bowiem pięciokroć łatwiej sklecić pentanteuch nowej religii i jedynie zbawczy przepis na poprawę świata, niż stworzyć jeszcze jedną Annę Karenine albo Lady Macbeth. Pół wieku przed Szekspirem położył głowę pod topór twórcy nieszczęsnego słowa „Utopia“, po naszymu wyspa Nigdzie, kędy się spełnia beznadziejna mrzonka falansteru równości, braterstwa i wolności; dlatego Shaw, czasami z własnej woli stańczyk na dworze króla Kapitału, lecz z tem wszystkim derwisz pijany fanatyzmem społecznym, nie przebaczy nigdy arcyepoecie, który w dobie zaognionych walk politycznych i przeciwieństw społecznych zachował heroiczno-naiwne pojęcie dziejów i patryarchalnie-arystokratyczny kult monarchicznej mądrości, komunistyczne zamieszki piętnował, jako kalibańskie obłąkania tłumu, a jeden tylko uznawał typ demokratyczny: nieokrzesanego gburą, który czy Dromiem był z Efezu czyli z Syrakuzy, miast durzyć sobie czerep obietnicami rzeczynospolitei platońskiej, winien ciągi, któremi go Antioch miłościwie okłada, przyjmować jako swój sprawiedliwie zasłużony udział w dobrach doczesnych, a gwaran-

cyę predestynowanej harmonii wszechświata wogóle. Darremno przepraszać naprawiaczy świata z arcytwórcą i ostrowidzem duszy człowieczej: wychowanie ludzkości czy sen o przyszłości brzmią mu niby niemowlęce gaworzenie w obliczu niezmienności natury ludzkiej, w której tkwi za datek niezniszczalnego zła, i wobec przeznaczenia, któremu na imię charakter.

Na dniu Niewinnych Młodzianków R. P. 1594. w londyńskim kolegium prawniczym pokazał 28-letni syn chłopca z Stratford młodzieńcą swą transkrypcyę z plautyńskich „Menechnów“, których przeliczne qui pro puo zreduplikował jeszcze drugą parą bliźniaczą z „Amfitryona“ i żałosną historyą z Apoloniusza z Tyru, okraślił romantycznym kolorytem włoskiej commedia erudita, a organicznie spoił i zreżyserował własnym geniuszem. Dwa lata ledwo minęły, jak znalazł się na bruku Londynu i przyłączył do trupy aktorów; nie o naprawie tego świata rozmyślał: słuchał jeno łakomie, jak ulicami miasta przelewa się życie pełne zbrodni i świętości, tęsknot i upadków, dosytu i marzeń, o kształt swój i wyzwolenie proszących. Czuł już, że ma krainę duchów do zdobycia: jak wydzwignąć w męce tworenia tajemnicę serca ludzkiego, zajrzeć sfinksowi w oczy i nie przerazić się, sto razy stracić wiarę w człowieka i jeszcze raz ją odzyskać, ostatnim wysiłkiem woli bronić się przed widokiem ostatecznego tryumfu zła, a gdy już sił nie staje, przed ohydą rzeczywistości, na zawsze wytrąconej z równowagi moralnej, chronić się w śnieżną opowieść zimową lub księżycową feeryę letniej nocy, gdzie szczęście staje się podobnem do prawdy, a cierpienie ukojonom, jak w bajce, — ale zawsze i wszędzie czytać na frontonie The Globe-teatru napis, oplatający kulę ziemi, dzwigniętą rękoma Heraklesa: Totus mundus agit histrionem! Z za wszystkich bowiem węglów życia czyha komedia pomyłek, tragifarsa nieporozumień, by dla kaprysu nurzać w odmet nieszczęścia i dobywać na wierzch synów ziemi, którzy, choć oddzieleni przepaściami siedmiu gór i rzek, zostaną sobie podobni, jak bliźnie dzieci przeznaczenia.

W młodzieńczej próbie sił wskazuje poeta raz po raz na przyszłe szczyty swej sztuki: w miłosnych scenach z słodkaLucyaną trafia w pogłosy sceny balkonowej w ogrodzie Kapuletów, w tragedyi osieroconego ojca, na śmierć wiedzionego niezasłużoną, w cały patos nieszczęścia, graniczącego o miedzę z popolitością dnia codziennego; kłopoty Dromia, praszczura rodu arcyblaznów aż do najdostojniejszego trefnisia króla Lira, jego łęki przed niesamowitemi sztukami czarnoksięskich rzezimieszków i pani szatanowej z półświatka przeczuwają już z blizka ten jedyny w poezyi świata splot gminnego humoru rzemieślniczej kompanii komedyanckiej z Aten z miłosnym czarem sylfów i śmiechem chochlików, a gromadna anagnorisis, godząca wszystkich członków rodziny w scenie wyjaśnień i obrachunków. łączy się z końcowymi akordami ostatnich dramatycznych romansów poety, w życiu jak twórczości, na początku i u kresu jednoczącego się z miastem i gniazdem rodzinnem. „Komedia pomyłek“ nie jest arcydziełem, ale w jej rytmie wezbranym otwierają się raz wraz perspektywy zamysłów i głębie uczucia, obok których komentator winien notować, jak kartograf średniowieczny na nieznanych polach swej mapy: hic sunt leones.

Reprezentacya sobotnia była udalą w miarę środków próbą zerwania z zastarzałym szablonem inscenizacyi. Od dawna już bezcenny tekst szekspirowski, przykrawany i kaleczony z potrzeb topograficznych, ośmieszany tradycyjną tandetą kostyumowa i tapicerską, to znowu przytłaczany, niewiadomo czy nie szkodliwszą jeszcze, muzealną archeologią meiningeńska, kureczył się i marniał tak dotkliwie, że ktokolwiek chował w sercu kult Szekspira, kult

równoznaczny ze czcią poezji wogóle, stawał wobec dylematu: albo ratować poetę przed teatrem wogóle albo znaleźć jego scenie inne środki wyrazu i ekspresji. Świadomość ta zbiegła się z prądem reformatorskim teatru wogóle. Stąd obok repertoaru modernistycznego stał się Szekspir właśnie ulubionym polem doświadczeń, wkraczających niejednokrotnie w awanturniczą sferę szukania przyciągnięcia i niebezpieczeństw. Kiedy bowiem Antoine na przedstawieniu „Cyda“ w Odeonie paryskim wpuszcza na scenę między dwór kastylijski uprzywilejowane osoby wersalskie, les abbés du palais royal, duki i sieury, Rodrygowi i Chimenie każe przerywać kwestye i witać dostojnika, a służebnemu chłopcu oświetlać w rampie świeczki łojowe. (szopka jest pratytem takiego teatru, podającego z całą otwartością moment „nastawiania sceny“)—albo gdy Gordon Craigh rozpina w głębi jednobarwną draperyę, widzowi każe haftować do woli fantastyczną architekturę czy pejzaż, aktorowi zaś pozwala dziś jeszcze w tle tem poruszać się i mówić, ale grozi, że może już jutro marny jego wysiłek wcielię zastąpi narzędziem bliższem doskonałości: gestem lalki, tłómaczącej ekspresyą ruchu recytowany za sceną tekst tragedyi czy komedyi — to jest widoczne, że reformy te rezygnują właściwie z naprawy teatru w jego typie obecnym i przyjmując, że widz współczesny znużony jest do syta czynnikami sceny dzisiejszej: dekoracyą, kostyumem, a nawet aktorem, szukają zgoła nowej kategorii fikcyi.

Dzisiejsze inscenizacye Szekspira chwieją się niezdecydowanie między ostatecznościami: jedną jest reinhardowska, rozgrywająca się w cyrkach z królewskim przepychem barw, kształtów i dźwięków; drugą ubożuchny prymityw sceny elizabetańskiej, tej samej, na jakiej arcytwory te raz pierwszy wcielały się w żywe kształty; tak zagrał Tieck „Sen nocy letniej“ Fryderykowi Wilhelmowi IV., po nim tak grano w Monachium i Mannheim, a w ojczyźnie poety w uniwersyteckim teatrze Oxfordu i dorocznie na kwietniową rocznicę narodzin i śmierci poety w His Majestys Theatre.

Inscenizacya Rydla trafnym instynktem zatrzymuje się

w połowie drogi: nie pozbywa się dekoracyi, owszem stylizuje ją z wdziękiem we wczesny renesans, ale pomyslową redukcją oszczędza pełny niemal tekst najkrótszej zresztą ze sztuk Szekspira, skupia całość, rozbitą na szereg odsłon, na jednym placu między domem Antifolusa a klasztorem, przez co komedyja, rozegrana w jednym dniu i miejscu, wygląda nieomal, jak urzeczywistnione życzenie biednego Voltaire'a, który nadaremnie przemysłował, jakby bogactwo akcyi genialnego barbarzyńcy ożenić z przykazaniami listu do Pizonów. Drugą nowością było oddanie obu ról bliźniaczych jednej parze aktorów; reżyserya wyszła z założenia, że stopień nieprawdopodobieństwa nieuniknionego, więc konwencyjonalnego jest mniejszy wobec jednoty mimiki, dykcyi i kształtu, a różnienia w kostyumie, niż w zidentyfikowaniu kostyumów przy nieuniknionych różnicach aktorów. Eksperyment osiągnął pełne powodzenie: p. Leszczyński, doskonale usposobiony, dyrygował tą sarabandą nieporozumień, nadażał mu p. Trzywdar, z natury obdarzony sylwetą marabuta, p. Bończa teniers'owską maską i obleśną mową narzucał widowni swój epizod, p. Grabowski do przesyty cieszył się swoim uczonym doktorem z Moliera, choć grać miał bakałarza i znachora z ludu, pp. Solska wreszcie i Kamińska wyglądały z za balustrady balkonu, jak biblijna kompozycyja Carpaccia. W ten to sposób z lokalnego kolorytu Efezu ostała się jedna czapka frygijska, a reszta, wierna stylowi Szekspira, zakpiła sobie aryostycznym uśmiechem z ograniczeń czasu i przestrzeni tak właśnie, jak owa fala morska, obmywająca brzegi Czech, Hektor, co zwykł cytować Arystotelesa, i Kleopatra, grywająca w bilard. Ponadto Dromio z nietajoną niechęcią wyrażający się o polskiej zimie, przypomniał, jak bądź co bądź przesadnym jest wyrzut Wyspiańskiego, jakoby „Szekspir nie miał cale pojęcia naszej polskiej duszy“: za jego to bowiem czasów wypisał w charakterystyce narodów, zwanej „Obrazem dusz“, sławetny Barclay rzecz o polskich mrozach, brudzie, wiarołomstwie i barbarzyństwie — pierwszy dokument serdecznych sympatyi angielskich dla sprawy polskiej.

Tadeusz Świątek.



Budowa okopów.

fol. T. Langeir.